

ZMIANA I TRWANIE*

LUDWIK STOMMA

Panta rhei – to słynne zdanie Heraklita z Efezu (około 540–480 roku p.n.e.) stało się swoistym, właściwie niepodważalnym podsumowaniem jego filozofii. „Niepodobna wejść dwukrotnie do tej samej rzeki”, bo już napłynęły inne wody, które inne wypłukały piaski. W nieco odmienny sposób ujął to Antoni Gołubiew, który zapytany o to, co jest istotą rzeczywistości, odpowiedział, że „zawsze jest inaczej”. Antropologia historyczna jest jak najdalsza od podważania tych stwierdzeń. Zauważa jednak, że wszystko płynie z ogromnie nierówną prędkością, i że w niektórych względach jest w mgnieniu oka zupełnie inaczej, w niektórych zaś po wiekach zaledwie trochę inaczej.

Najogólniej rzecz biorąc, mamy do czynienia z dwoma rodzajami faktów. Tymi, których genezę i ewolucję, albo genezę i trwanie, możemy opisać i usytuować w kontekście dzięki źródłom pisanim lub badaniom terenowym, i tymi, których geneza, a wraz z nią zasadność i miejsce onegdysiejszej wizji świata gubią się w bezźródłowym mroku dziejów. To są właśnie zajścia z owych „czasów Seta”, o których dumiał młody Józef, wpatrując się w głębinę studni, ginącą na końcu w ciemności¹. Archeologia nie przynosi tu antropologowi istotnej pomocy. Przesądzać może bowiem bodaj wyłącznie o faktach materialnych. Odnaleziono czterogłowy posąg Świątowita (czy akurat jego, to już mniej lub bardziej, ale założmy, że bardziej, uzasadniona spekulacja). Co dalej? – Co reprezentował? – Na czym polegał jego kult? André Leroi-Gourhan (1911–1986) jest tu bezlitosny. Przytacza taki oto wyimaginowany, ale miażdżąco logiczny przykład². Nasz świat uległ zagładzie. Po tysiącach lat jacyś archeologowie z nowego rodzaju ludzkiego odkopują gotycki kościół. Znajdują w nim przed-

* Pierwodruk: L. Stomma, *A jeśli było inaczej... Antropologia historii*, Poznań 2008, s. 165-173. Redakcja wyraża Autorowi serdeczne podziękowanie za zgodę na niniejszy przedruk.

¹ T. Mann, *Józef i jego bracia*, przeł. E. Sicińska, M. Traczewska, Warszawa 1961.

² A. Leroi-Gourhan, *Les Religions de la préhistoire*, Paris 1966.

stawienia ukrzyżowanego mężczyzny, ociekającego krwią. Główną nawę wieńczy prostokątny stół kamienny. Orientują się też, że budowla ustawiona jest na osi wschód–zachód. To ostatnie skłania do uzasadnionej hipotezy, że chodzi tu o świątynię poświęconą jakiemuś kultowi solarnemu. Kamień ofiarny i wizerunek okrwawionego mężczyzny świadczą o tym, że składane były ofiary z ludzi. Na tej podstawie można właściwie zrekonstruować przeszłość: w hołdzie Bogu-Słońcu mordowano młodych mężczyzn. Następnie ich zwłoki – może, aby pokazać je wiernym, ale przypuszczalnie po to, by przedstawić je Bogu-Słońcu – podnoszone były na specjalnie przystosowanym palu. O tym, że chodzi raczej o pokazanie ofiary Bogu-Słońcu, świadczy fakt, że pale ustawiano poza samą świątynią, z reguły (*vide*: zachowane obrazy) na wzgórzach, a więc bezpośrednio przed jego obliczem *etc.*, *etc.*

Analiza ta nie odbiega w niczym, bo też odbiegać nie może, od proponowanej przez archeologów odnajdujących ślady ogniska, otoczone kośćmi niedźwiedzia. Niemal automatycznie rodzi się hipoteza kultu niedźwiedzia, co poświadczane jest źródłami etnologicznymi (rzeczywiście takowy był odnotowany), pomimo że dotyczą one innych tysiącleci i innych terenów, a więc siłą rzeczy i zgoła innych społeczności.

O bezsile archeologa w interpretacji faktów, wychodzących poza zakres kultury materialnej, świadczyć może, na naszym podwórku, mnogość zgoła nieraz karkołomnych teorii dotyczących religii i mitologii prasłowiańskich. Ostatecznie Aleksander Gieysztor³ zdecydował się przejąć w tej mierze, właściwie *in extenso*, koncepcję Georges'a Dumézila⁴. Podstawowe tezy zmarłego niedawno Dumézila można w dopuszczalnym uproszczeniu streścić następująco:

1. Mitologie poszczególnych grup etnicznych, odbijające i tłumaczące ich wizję świata, mają zawsze charakter systemowy – tworzą wewnętrznie koherentną strukturę.
2. Wszelkie próby datowania wątków mitologicznych są przedsięwzięciami *ex definitione* bezpłodnymi, bowiem: „Krzesło nie jest prostą sumą kawałków drewna, wiehcy słomy i metalowych śrub, z których zostało zrobione. Dopiero funkcjonowanie całości tłumaczy poszczególne elementy. Wiedza o wieku owych szczap, wiehcy czy śrub niewiele się więc przyczyni do zrozumienia – jeśli wolno się tak wyrazić – istoty krzesła”. Owszem, mity mają swoją historię, ale jest ona wpisana w długie trwanie, niemierzalne w kategoriach zapożyczonych z historii politycznej, i ginie w czasach przedźródłowych.

³ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 1982.

⁴ G. Dumézil, *Mythe et Épopée*, t. 1–3, Paris 1995.

3. Obrzęd jest mitem w akcji, czyli – innymi słowy – obrzędowość i mitologia, będąc odbiciami tej samej wizji świata, mogą być interpretowane łącznie (wzajemnie służyć swojej interpretacji), przy czym kwestia pierwszeństwa mitu (Jacques Soustelle) czy rytuału (Victor Berard, Robert Graves) nie ma większego znaczenia niż problem, co było pierwsze: jajko czy kura.
4. Struktura panteonu bóstw wszystkich mitologii indoeuropejskich, co do których dysponujemy pewnymi źródłami, jest trójdzielna. Bóstwa owe realizują trzy odrębne, ale nawzajem uzupełniające się funkcje:
 - a) panowania, w sensie władzy nadprzyrodzonej, nad światem;
 - b) siły zdobywczej, w tym militarnej;
 - c) płodności (funkcja mająca charakter mediacyjny).

Przykłady:

Indie: a) Mitra, Waruna; b) Indra, bliźnięta; c) Nasatya.

Skandynawia (podług Eddy): a) Tyr, Odyn; b) Thorr, Nsordr; c) Freyr.

Rzym: a) Dius, Jupiter; b) Mars, Quirinus; c) Flora *etc.*

Dlaczego Aleksander Gieysztor mógł przejąć trójdzielny schemat Dumézila i odtworzyć przypuszczalny panteon słowiański? Z tego zasadniczego powodu, że późniejsze, zachowane do czasów źródłowych obrzędy słowiańskie świadczą o trójdzielnej strukturze (podkreślmy – tylko strukturze, przyjmującej już inną ekspresję) systemu mitologicznego. Wskazuje to niemal z pewnością na bliskość tego systemu z jego odpowiednikami indoeuropejskimi. Jeżeli zaś mamy do czynienia z podobnym systemem, nieliczne atrybuty bóstw słowiańskich, o których wiemy na pewno (na przykład związek Peruna z piorunami, czy Welesa z magią i zaświatami), pozwalają nam, z dużą dozą prawdopodobieństwa, przydzielić je do odpowiednich funkcji i poszukiwać potwierdzenia hipotezy już nie tylko w bezpośrednich świadectwach mitologicznych, których brakuje, ale w relacjach między nimi. Tutaj zaś już archeologia (miejsca ustawienia posągów, ewentualne ślady ofiar itp.) może dostarczyć argumentów, które same z siebie nie mówiłyby nic, stają się natomiast bezcenne, kiedy niejako „wypełniają” klatki struktury. Innymi słowy: w bardzo wielu przypadkach rzutować możemy wstecz nie fakty, nie opowieści, ale struktury należące – jak pisał Dumézil – do długiego trwania. Do tego rusztowania przykładać zaś potem możemy łaty, sprawdzając, czy i w jakiej mierze do niego pasują.

Z zupełnie innej perspektywy, ale dochodząc ostatecznie do tych samych wniosków, patrzy na to Fernand Braudel⁵. Zanim przedstawimy jego tezy, krótka

⁵ F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, t. 1, przeł.

anegdota. Fernand Braudel był uczniem uważanego podówczas za ekscentrycznego, by nie rzec: heretyckiego, historyka Marca Blocha⁶. Z wielką niepewnością – jak wspominał po latach Braudel – przedstawił swemu nauczycielowi propozycję tematu pracy doktorskiej: „Władza Filipa II w basenie Morza Śródziemnego”. Marc Bloch skwitował to sarkastycznym uśmiechem, z którego wynikało, że Braudel ma opuścić pomieszczenie: „– Cóż takiego szczególnego widzicie, niedoszły historyku, w tym nieszczęsnym albinosie Filipie II [król Hiszpanii 1556–1598 – L.S.]? Czy za jego nieprawdopodobnych czasów zmienił się klimat na Lazurowym Wybrzeżu, czy inne ryby wpłynęły do morza? Czy lato przestało być gorące, a zimy siekące dotkliwym, zacinanym przez mistral, dokuczliwym deszczem? Czy marynarze nie zostawali w zimie w domu, a w związku z tym nie podnosił się poziom przyrostu naturalnego w miesiącach jesiennych? To spójrz pan na dostępne statystyki. Niby skąd ta zwyczajka jesiennych urodzin w Marsylii, Nicei, Tulonie?”. „Zabrałem swój konspekt – opowiadał Braudel – i wróciłem do domu. Siedziałem i usiłowałem pojąć, o co Blochowi chodzi. Aż nagle przeżyłem coś na kształt olśnienia. Przecież nie Filip II determinuje Morze Śródziemne, ale ono jego poczynania, choćby najpotężniejszym był władcą. Nie determinuje w sensie absolutnym, ale ono wyznacza mu granice, nie on jemu. Chwyciłem mój tekst i zacząłem skreślać, poprawiać, dopisywać linijki. Była to oczywiście robota głupiego. A jednak parę dni zabrało mi dojrzewanie do jedynie słusznej decyzji – ciśnięcia wszystkiego do kosza. W parę dni później stanąłem znowu przed mistrzem. Zaproponowałem temat «Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II». Filip II przestał być sprawcą, zredukowany został do cezury chronologicznej”. Mistrz uśmiechnął się łaskawie: „– Już lepiej, ale czy wziął pan pod uwagę, jaka jest dzisiaj pogoda?”. „I znowu wiele czasu było mi trzeba, żeby zrozumieć...”.

Skoro jednak zrozumiał, oddajmy mu głos: „Zimowe półrocze [w basenie Morza Śródziemnego – L.S.] jest okresem ciszy, spokoju. Wojny między wieloma państwami ucichają, małe wojny również... [...] Dla rządów jest to czas projektów i wielkich dyskusji. Rozrastają się niezmiernie prace sztabów: zima to okres przygotowywania plików akt. Powiedzielibyśmy chętnie: akt zimowych, z których historycy korzystać muszą zawsze z wielką ostrożnością. Nie ma nic pilnego. Jest dobra okazja, by dyskutować, przewidywać i wreszcie tworzyć na papierze. Oto, co należałoby czynić, gdy nastąpi to czy owo; natomiast jeśli Turcy, bądź jeśli król Francji... I wielkie stronice pokrywa czerń atramentu... Śmiałe pomysły,

T. Mrówczyński, M. Ochab, wstęp B. Geremek, W. Kula, Gdańsk 1976; id., *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV–XVII wiek*, przeł. M. Ochab, P. Graff, wstęp i red. nauk. J. Kochanowicz, Warszawa 1992.

⁶ M.in. M. Bloch, *Les rois thaumaturges*, Paris 1924.

cudowne plany, analizowane przez historyków z szacunkiem i przekonaniem o ich wadze, ale dojrzewające w ciepłe polana płonącego w kominku lub piecyku w szczelnie zamkniętym pomieszczeniu, podczas gdy na zewnątrz, w Madrycie czy gdzie indziej, szaleje czerstwo, śnieżna zadymka, która nadciągnęła z gór! Wówczas żadne przedsięwzięcie nie wydaje się zbyt wielkie, zbyt śmiałe... Blokada Niderlandów, pozbawienie ich soli, wykupienie całej pszenicy hanzeatyckiej, którą się żywią, zamknięcie im dostępu do portów Hiszpanii; są to wszystko projekty zimowe...”.

„Projekty zimowe” – jajko Kolumba! Podobnie analizuje Braudel specyfikę kultur górskich, relacji między północą a południem Europy... Co to znaczy, że „dochodzi do tych samych wniosków”? – Stwierdza po prostu, że relacje kulturowe czy społeczne zamknięte są w pewnych ramach. Lévi-Strauss widzi nadane nam przez język struktury postrzegania świata czy też (Dumézil) konstruowania naszych mitów, Braudel uzupełnia to dyktatem klimatu czy geografii. Rzecz niezwykle ważna! – Nie ma w tym żadnego determinizmu. Struktury mityczne czy też geograficzne (w najszerszym tego słowa rozumieniu) wyznaczają tylko pewne granice możliwości, w których mieści się ogromna liczba wariantów, jest miejsce dla innowacji, zmiany i ingerencji indywidualnego geniuszu. Tyle że w tym ostatnim przypadku antropologia zaleca najdalej idącą ostrożność.

Stefan Czarnowski pisał, że fakt wchodzi w obręb kultury jedynie w drodze uspołecznienia⁷. Nasze marzenia, przerażenia, sny nie wejdą w obieg kultury, jeśli nie zostaną opowiedziane i wysłuchane, nie wejdą też w obieg społeczny. Jest wysoce prawdopodobne, że żyło w Polsce iluś tam poetów większych i bardziej słusznych niż Mickiewicz czy Miłosz. Tyle że wiersze tych zapomnianych nie ujrzały, z takich czy innych powodów, światła dziennego, nie weszły w obieg społeczny, nie „uspołecznily się”, więc ich nie ma. W momencie jednak kiedy mówimy o „uspołecznieniu”, stajemy przed kolejnym niezwykle ważnym problemem. Otóż owo „uspołecznienie” nie ma najczęściej wiele wspólnego z intencjami. Odwoływałem się już do historii kartofla. Nie zawadzi przypomnieć ją raz jeszcze.

„Pierwsze kartofle dotarty z Peru do Europy (wyjątkowo znamy precyzyjną datę) 10 kwietnia 1525 roku. Dokładnie tego samego dnia odbywał się w Krakowie Hołd Pruski [który także w procesie uspołecznienia zmienił swój sens i symbolikę – L.S.] – Z początku nie zrobiły większej kariery. Król Hiszpanii Filip II [nie możemy się od niego opędzić – L.S.] wysłał wprawdzie papieżowi Piusowi V parę egzemplarzy jako lekarstwo, jednak Ojciec Święty po spożyciu

⁷ S. Czarnowski, *Studia z historii kultury*, Warszawa 1956.

żadnej ulgi nie poczuł. Rzecz poszła we wstydlive zapomnienie. Dopiero w 1783 roku zachęcał Filip Baldini lombardzkich wieśniaków do uprawiania egzotycznej byliny. I wtedy wszakże nie słała się ona we Włoszech żadną konkurencją dla odwiecznego makaronu.

Najszybciej przyjęły się kartofle w Irlandii i w Niemczech. W drugim z tych krajów służyły jako karma dla świń, nędzarzy i... jeńców wojennych. Przypadek zdarzył, że w 1757 roku wpadł w ręce niemieckie zdolny pigularz, ale mierny wojak – niejaki Antoni Augustyn Parmantier. Jego francuscy towarzysze niedoli, jedząc kartofle, rzygali, ciężko chorowali, a nawet (sic!) umierali. Parmantier miał jednak wyjątkowo pozytywny stosunek do życia. W tajemnicy przed rodakami robił eksperymenty. A to przypalił kartofelek na wolnym ogniu, a to usmażył na sprzedanym przez skorumpowanego strażnika kawałku słoniny... Wreszcie zasmakował.

Powróciwszy do ojczyzny, stał się prorokiem kartofla. Niestety, prorokiem na puszczy. Zupę według jego receptury (był wynalazcą kartoflanki) wyrzygiwali żebracy przed kościołem Saint-Germain-des-Prés (tam stał kościół) ku zgorzeleniu i obrzydzeniu przechodniów. Wreszcie zdesperowany proboszcz, którego opuszczać zaczęła nie lubiąca się ślizgać w wymiocinach mieszczańska klientela, wyrzucił Parmantiera wraz z kotłem na zbity pysk.

Trzeba było długich lat, by zrozumiał Parmentier, że mody nie lansuje się od dołu. Po długich staraniach uzyskał audiencję u Ludwika XVI i wręczył mu sadzonkę. Samo warzywo Jego Królewskiej Mości specjalnie nie zainteresowało. Spodobał mu się natomiast kwiatek. O, błogosławione kaprysy możnych tego świata! Król zerwał kartoflane kwiecie i przypiął je do kapelusza. Dworzanie zamarli z zachwytu. Nadworny ogrodnik zasadził natychmiast w Wersalu cztery grzędy nowej dekoracji.

I żyłby sobie kartofel spokojnie między różami i piwoniami. Niestety, widmo historii krążyło już nad Europą. Już padła Bastylia, już wdziera się zgłodniały lud do Wersalu!... I cóż tam widzi? – Ależ smakowite jabłka ziemne (pommes de terre), które chciał złowrogi tyran najwyraźniej ukryć przed narodem. [...] My jednak, dzieci rewolucji, oddamy narodowi, co do niego należy! Wolność – równość – braterstwo – kartofel. Tak stał się kartofel jądłem rewolucyjnym i postępowym. [...] Ustawą z 21 ventôse roku III nakazują władze Paryża przekształcić Ogrody Tuileryjskie w pole ziemniaków...”⁸. Z biegiem czasu pojawią się frytki.

Zabawna ta historia pokazuje dobrze, jak dalece zamiary rozmijają się z faktami, a struktury, w których dane im było zaistnieć, zmieniają ich sens

⁸ L. Stomma, *Dzieje smaku*, Poznań 2003.

i znaczenie. Wojciech Młynarski uskarżał się ongiś, że jego antyalkoholowa piosenka *W Polskę idziemy* stała się ogólnopolskim hymnem pijackim. Jest to zdarzenie tego samego rzędu. Przy czym pozostajemy nadal w świecie anegdoty. Sprawy stają się poważniejsze, gdy pomyślimy, że wojna trzydziestoletnia rozpoczęła się jako drugorzędny konflikt religijny, potem zaś nie tylko przeorała mapę Europy, ale zmieniła w całej jej środkowej części system wyobrażeń o wojnie, kondycji ludzkiej, moralności. I nie panowali nad tym ani Albrecht Wenzel Eusebius von Wallenstein, ani Gustaw II Adolf, ani Johann Tserclaes von Tilly... Englund pokazuje, jak szybko sytuacja wymknęła się im spod kontroli i zmusiła do wykonywania ruchów pozornych, których konsekwencji nie mogli przewidzieć, a które były straszliwe.

Człowiek jako twórca kultury i historii upodabnia się niezwykle często, czy nawet przeważnie, do owego ucznia czarnoksiężnika z opowieści Johanna Wolfganga Goethego⁹. Jest to niezwykle istotne. Wkraczając bowiem w „czas źródłowy”, czyli czas źródeł pisanych, stajemy nie tylko wobec opisu faktów, ale również, bardzo często, opisów intencji. Otóż z tych ostatnich musi antropolog zrezygnować w tym przynajmniej sensie, w którym pisał Claude Lévi-Strauss, że: „Logika myślenia mitycznego wydaje się nam równie wymagająca, co ta, na której opiera się myślenie pozytywne, i w istocie mało od niej różna. Albowiem różnica bierze się nie tyle z jakości operacji umysłowych, ile z charakteru rzeczy, których dotyczą te operacje”. Wychodząc z takiego założenia, można – przy budowie najogólniejszych struktur myślenia mitycznego – odwoływać się niejednokrotnie do klasycznego rachunku zdań. Wtedy jednak nie będzie ważne miejsce, które miał zająć fakt w owym rachunku, ale to, jakie w logice systemu obiektywnie znajduje. W ogromnym uproszczeniu: Wojciech Młynarski może być dla nas obiektem badań jako osoba, która w tym, a nie innym czasie stworzyła tę, a nie inną piosenkę. I bardzo dobrze. Wynikać mogłoby z tego na przykład, że w jego czasach alkoholizm był w Polsce problemem, któremu należało się przeciwstawiać. Tu liczyłyby się zamiary i intencje autora. Sama jednak piosenka w procesie uspołecznienia wpisuje się w struktury kultury i zaczyna żyć własnym życiem, niezależnym od tychże intencji i zamiarów. Analiza jej roli w strukturze każe więc ją traktować jako fakt kulturalny sam w sobie, odgrywający rolę w systemie i powodujący skutki zależne od relacji z innymi faktami, a więc bez względu na intencje, które towarzyszyły jego zaistnieniu. Każdy z takich faktów może być „zdarzeniem”, jak powiedziałby Fernand Braudel, a więc mieć znaczenie anegdotyczne, ale może również wpisać się i współkształtować „koniunkturę” historyczno-spo-

⁹ J.W. Goethe, *Der Zauberlehrling*, 1797.

łeczno-kulturalne i w konsekwencji wyrzucić wpływ, którego znaczenie było w punkcie wyjścia niemożliwe do przewidzenia. Co więcej, jego rola w naszym świecie zmiennych wartości może ewoluować nawet tak, że stanie się swoim własnym przeciwieństwem.

Nie uciekniemy, przynajmniej przez stulecia i tysiąclecia, od „struktur długiego trwania”: geograficznych, klimatycznych, zawartych w rodzinie języków *etc.* Przy całym postępie technicznym nadal inne wyzwania stają przed ludźmi mieszkającymi w górach, nad morzem czy na pustyni. Dopóki nie zmieni języka i zawartego w nim kodu klasyfikacji rzeczy i pojęć, inaczej postrzegać będzie świat Pigmej Mbuti, Indianin Hopi czy Europejczyk. Nie ma w tym jednak, powtórzmy, żadnego determinizmu, żadnego „porządku naturalnego”. Chociaż bowiem „koniunktury” wpisują się będą w „struktury długiego trwania”, a „zdarzenia” w „koniunkturach”, liczba wariantów będzie w każdej z tych relacji tak wielka, że pozostanie nieskończenie wiele miejsca na zmianę, przypadek i urodę ludzkiej pomyłki.

Antropologia historyczna stara się tłumaczyć kulturę w jej zmienności dziejowej. Ale właśnie rozumiejąc ową zmienność, nie sili się na prognozowanie, chyba że za prognozę uznać można cytowane już trzykrotnie słowa Antoniego Gołubiewa, iż „zawsze jest inaczej”. Nie niesie ona w sobie ani optymizmu, ani pesymizmu. Owszem, antropolog sądzi, że następne pokolenia widzieć będą w naszych dzisiejszych, również i naukowych, przekonaniach, wartościach i wierzeniach tyleż samo błędów, zbrodni i fałszywych prorocstw, ile my widzimy, spoglądając wstecz. Ale przecież – jak pisał Czesław Miłosz – przy rozmiarach kapryśnego szaleństwa człowieczego ludzkość, logicznie rzecz biorąc, dawno powinna byłaby już dojść do punktu samozagłady. A przecież istnieje. I po starciu produkuje rzeczy, idee, złudzenia, powraca do starego, odrzuca stare. Antropolog stara się tylko zobaczyć i zrozumieć, jak to było w kolejnych czasach poskładane z kawałków, które tworzyły – w przekonaniach kolejnych pokoleń – „prawdziwy i odwieczny ład świata”. Antropolog, jak pisał Claude Lévi-Strauss, „rozbiera kulturę na części, a potem składa je z powrotem”. Tylko tyle. Ale i aż tyle. Bo żeby prawidłowo złożyć, musi zrozumieć, jak się one ze sobą ząbają, łączą, przenikają. Poniekąd kostka Rubika, tyle że nieskończenie ciekawsza, bardziej skomplikowana i bogata.